

DZIEJE KULTU ŚWIĘTYCH W KOŚCIELE

W przeszłości reformacja wielokrotnie wykazywała, że – typowy dla pobożności ludowej – jednostronny i przesadny kult świętych może bardzo łatwo prowadzić do nieświadomej formy politeizmu. Następtwem takiego stanu rzeczy było to, że po ostatnim Soborze pojawiała się nierzadko niebezpieczeństwo całkowitego zatracenia rangi i wagi umotywowanego przecież teologicznie kultu świętych. Sam widok osób pobożnych, modlących się długo i żarliwie przed jakimś posągim świętego, otoczonego wieńcem świec i kwiatów, a nie przed tabernakulum, skłaniał wielu kaznodziejów i katechetów do coraz mniejszego zwracania wiernym uwagi na rolę i znaczenie tak zbawiennego dla nich kultu świętych. I właśnie dlatego chcemy obecnie się zająć ukazaniem solidnych podstaw zdrowego kultu świętych.

„Świętość” w kanonicznym tego słowa znaczeniu jest pojęciem ewoluującym historycznie. W dziejach Kościoła nie zawsze bowiem uważano za świętego ten sam rodzaj wzorowego chrześcijanina. Jedno jest jednak pewne: „świętymi” nazywano zawsze te niezwykle i wyjątkowe osoby, które upodobały się jak najbardziej do Chrystusa, naśladowując Jego sposób życia. Skoro jednak osoba Chrystusa jest tak bardzo bogata i „wieloraka”, Kościół nie zawsze głosił i propagował ten sam, identyczny, obraz Chrystusa. Raz ukazywał Go jako wszechpotężnego Władcę i Króla, kiedy indziej jako bardzo zażyłego Przyjaciela, a nawet Oblubieńca, z którym można mieć bliski, bezpośredni i zażyły kontakt – jak choćby w Eucharystii. Później dostrzegał w Nim integralny i znakomity wzorzec moralny, w którym nie było żadnej usterki, braku, błędu ani grzechu. W naszych czasach wielu wreszcie widzi w Nim głównie Tego, kto się zaangażował całkowicie na rzecz ubogich, ludzi z marginesu, bezrobotnych i bezdomnych. Za każdym razem nazywano „świętym” tego, kto odpowiadał w sposób oczywisty i niemal doskonały aktualnemu w danej chwili obrazowi Chrystusa. Powiedz mi, jak ktoś odczytuje, wyjaśnia lub rozumie Ewangelię, a ja ci powiem, jaki rodzaj człowieka, żyjącego lub zmarłego, uważa on za „świętego”

Po tych kilku uwagach wstępnych chcemy głębiej się zastanowić głównie nad dwiema kwestiami. Chodzi nam najpierw o to, dlaczego zdrowy i uzasadniony kult świętych jest tak ważny dla duchowego życia Kościoła? A następnie: jaki obraz (albo raczej: jakie różne obrazy) Chrystusa odkrywamy w dziejach pobożności? Jednym słowem: co podziwiano najbardziej w Chrystusie i jaki rodzaj ludzi zasługiwał na podobny szacunek?

Zanim jednak podejmiemy te kwestie, konieczne jest konkretne stwierdzenie wstępne. Poczynając od oficjalnej kodyfikacji prawa kanonicznego pod nazwą: *Dekrety Grzegorza IX* w 1234 roku, jedynie papież – a zatem ani biskup, ani patriarcha lokalny – kogoś kanonizuje, zezwalając tym samym i popierając jego kult w Kościele. Trzeba będzie jednak czekać aż do roku 1634 i do pontyfikatu Urbana VIII, kiedy to ten papieski przywilej zostanie powszechnie uznany i faktycznie wprowadzony w życie.

Te oficjalne kanonizacje trzeba jednak interpretować bardzo rozważnie, a nawet z pewną rezerwą, stwierdzając na przykład, że ponad 82% „kanonizowanych” pomiędzy rokiem 1000 a 1970 (czyli za pontyfikatu Pawła VI) stanowią sami mężczyźni. Trudno bowiem byłoby się zgodzić z tezą, że kobiety żyjące w całym tym tysiącleciu były mniej święte od mężczyzn! Nawet w XX wieku 75% kanonizowanych stanowią mężczyźni. Dodajmy jeszcze do tego, że 74% spośród świętych (kanonizowanych) mężczyzn w latach 1000-1789 należały do arystokracji, a przynajmniej do wysoko postawionego mieszczaństwa. Trzecim powodem zmuszającym do pewnej relatywizacji tych kanonizacji jest fakt, że 89% wszystkich świętych z okresu 1000-1970 było zakonnikami lud duchownymi¹

Trudno jest wyjaśnić powody takiej jednostronnej postawy historycznej. Najstarszym, a więc pierwszym rodzajem świętego był męczennik, który oddawał swoje życie za wiarę, głównie podczas rzymskich prześladowań. Po nawróceniu się Rzymskiego Cesarstwa na wiarę chrześcijańską największą uwagę i podziw przyciągali mnisi i Ojcowie pustyni (o „Matkach pustyni” nie mówiono nigdy przed rokiem 1980!). To prawda, że mnisi nie umierali za wiarę, porzucali jednak świat i jego rozkosze, aby osiągnąć „doskonałość” Oczywiście następstwem takiego stanu rzeczy było zapoczątkowanie dzielenia wiernych na dwie grupy: „doskonałych” i „niedoskonałych” Innymi słowy: na „zakon-

¹ Por. P. H. Scheldrake, *Spirituality and History*, New York 1992, s. 61; P. Deloos, *Over heiligverklaringen en hun sociaal gebruik*, Concilium 5 (1979), s. 24-34.

ników” i „świeckich” (laików). Dominowała wówczas idea, że należący do pierwszej kategorii mogą (i powinni) dążyć do świętości, a częściowo nawet ją zdobywać. Jakby nie było, ta właśnie kategoria osób cieszyła się podziwem i szczególnym uznaniem ze strony Kościoła.

Pomimo tych uwag pomniejszających nieco rolę kultu świętych, kult ten ma także dzisiaj wielkie i o wiele bardziej istotne znaczenie, aniżeli się to wydaje licznym katolikom. A to z wielu względów.

W swojej godnej uwagi – ale jeszcze mało znanej w Europie – książce amerykański egzegeta L. T. Johnson wyjaśnia, że o wiele łatwiej jest poznać człowieka zmarłego niż żyjącego, przy czym wchodzi tu w grę dwa różne sposoby poznawania. Osobę zmarłą, jak na przykład Ruusbroeca czy Teresę z Lisieux, poznaje się poprzez pozostawione przez nią pisma lub przez to, co inni o niej napisali. Natomiast w przypadku osoby żyjącej, staramy się ją poznać drogą bezpośredniego kontaktu, albo też prowadząc z nią długie rozmowy. Chcąc zaś jeszcze lepiej poznać daną osobę, zwracamy się do ludzi, którzy mieli możliwość bliżej z nią się zapoznać, to znaczy do jej przyjaciół i powierników. Otóż – stwierdza Johnson – zmartwychwstały Chrystus jest „Osobą żyjącą”. Dwie najważniejsze drogi pozwalające lepiej Go poznać są więc następujące: osobisty kontakt z Panem (na modlitwie i medytacji) oraz możliwość zwrócenia się do tych, którzy mieli możliwość lub szansę bezpośredniego (intymnego) poznania Go (lub Go zawsze znają), to znaczy do świętych i mistyków przebogatej w tym względzie tradycji Kościoła. „We wspólnocie wiary uczymy się poznawać i miłować Chrystusa nie jak przedmiot, który się bada w sposób krytyczny i naukowy, ale jak Kogoś, kto jest osobiście obecny... Istotą chrześcijańskiej tradycji jest żywe następstwo (ciąg) ludzi, którzy dali się przemienić Duchem Chrystusa. To właśnie dzięki świętym siła i moc Chrystusa zmartwychwstałego zdołała sprawić, że tradycja Kościoła jest wciąż żywa i stale wzrasta... Z tego też powodu niezwykle wielkie znaczenie ma przywiązywanie o wiele większej uwagi do tych, w których Boża pedagogia jest najwyraźniej obecna. Uznajemy ich za «świętych», albowiem w ich osobach widzi się o wiele lepiej to, kim jest Chrystus faktycznie”².

Ujmując to twierdzenie bardziej liturgicznie, dodajmy, iż w Prefacji o biskupach, księżach i diakonach spotykamy następującą modlitwę zaadresowaną do Boga Ojca: „To Ty przemawiasz, kiedy słuchamy ich

² L. T. Johnson, *Living Jesus. Learning the Heart of the Gospel*, San Francisco 1999, s. 23, 49 i 50.

słowa i szanujemy ich świadectwo”³ Nie możemy więc lekceważyć słowa Bożego, wyrażanego przez świętych, argumentując to swoje nastawienie tym, że trzyma się ono ściśle Pisma świętego. Boże Objawienie posuwa się o wiele dalej, a bardzo ważnym ogniwem pośredniczącym pomiędzy Panem i Jego uczniami jest wewnętrzne życie miłości, jakie większość świętych, albo raczej wszyscy święci przeżyli z Bogiem.

Ale jest też drugi powód, dla którego święci odgrywają istotną rolę w życiu Kościoła, a zwłaszcza w teologii. Intelktualne poznawanie Boga (teologia) powinno iść w parze ze stylem życia Bogiem (duchowość), chociaż – niestety – nie zawsze działo się tak w przeszłości. Wybitni Ojcowie Kościoła byli jednak nie tylko teologami, ale także ludźmi świętymi i mistykami. To samo można by też powiedzieć o jakimś Tomasz z Akwinu, Bonawenturze, Anzelmie czy Mikołaju Kuzańczyku. Teologia była bowiem dla nich pojęciowym ujęciem osobistego doświadczenia Boga. Jedynie teoria zrodzona z doświadczenia staje się czymś więcej od wiedzy książkowej. W późnym średniowieczu dokonano się jednak rozejście ich obu w ramach narastającej wciąż specjalizacji i racjonalizacji. Teologią zajmowali się „intelektualiści”, natomiast duchowe doświadczenie świętych i mistyków stało się domeną niewiast, eremitów, mnichów i zakonników. Teologowie stawali się coraz bardziej teoretykami tej gałęzi wiedzy, podczas gdy święci i mistycy przeżywali wewnętrzne zjednoczenie z Bogiem i mogli niekiedy się przedstawiać w tej dziedzinie w ramach opcji, którą nazywano „ascezą i mistyką”

Teolog winien być jednak faktycznie – by posłużyć się pięknym obrazem N. Lasha – „literackim krytykiem różnych autobiografii chrześcijańskich” Teologowie bowiem powinni przebadać zawsze dokładnie i opisać w sposób krytyczny i racjonalny to, co święci przeżyli w swoim życiodajnym kontakcie z Bogiem. „Teolog akademicki – twierdzi Lash – jest w rzeczy samej muzycznym krytykiem *Pieśni nad pieśniami*”, to znaczy tej miłosnej historii, jaką niektóre osoby – święci – przeżyły tu, na ziemi, z Bogiem⁴. Bez poezji lub muzyki świętych pisma teologów są suche, nużące i nudne, dalekie od konkretnego życia.

³ W *Mszale Rzymskim dla Diecezji Polskich* nie ma takiej prefacji; natomiast zbliżone do cytowanych tu słów zdanie pojawia się w Prefacji o świętych Pasterzach. – Przyp. tłum., L.B.

⁴ N. Lash, *The Beginning and the End of Religion*, Cambridge 1999, s. 121-122.

Uwagi (krytycznej), jakoby teologia miała się zajmować wyłącznie objawieniem biblijnym – a więc nie świadectwem świętych, spotykanym przez nas w wiecznie żywej tradycji Kościoła – nie da się po prostu utrzymać. Przede wszystkim nie jest to wcale dziełem przypadku, że Kościół przypisywał zawsze różnorodne pisma Nowego Testamentu świętym Ewangelistom i Apostołom. Po wtóre, Kościół katolicki bronił zawsze energicznie roli i znaczenia tradycji chrześcijańskiej. Istnieje jednak jeszcze trzeci powód, dla którego zwyczajny wierny, podobnie jak teolog, powinien uświadamiać sobie rangę świadectwa świętych. Chrystus mówi nam w swym ostatnim przemówieniu: „Kto zaś Mnie miłuje, ten będzie umiłowany przez Ojca mego, a również Ja będę go miłował i objawię mu siebie” (J 14, 21). Zauważmy, że czasowniki występują tu w czasie przyszłym. Proces objawienia nie jest bowiem jakąś martwą literą, lecz żywym i życiodajnym kontaktem. Święty jest w sposób wybitny tym człowiekiem, który intensywnie miłuje Boga i staje się w ten sposób jak najpełniej otwarty na najbardziej intymne samoobjawianie się Boga. Hebrajskie pojęcie „objawienia” nie oznacza, według żydowskiego egzegety A. Chouraqui, nadprzyrodzonego wypowiedzenia jakichś prawd. „Objawiać” oznacza w Biblii to, co mężczyzna czyni wobec swojej żony, kiedy zrzuca z siebie ubranie, zapraszając ją do pożycia wynikającego z miłości i ją wyrażającego. Mówiąc słowami J. Bourbon-Busseta: „Bóg jest Pragnieniem Przymierza” Bóg jest całkowicie Pragnieniem kontaktu, bliskości, relacji, miłości, natomiast święty jest właśnie tym, kto w sposób bardziej radykalny od innych śmiertelników odpowiada na to wezwanie.

”Bóg nie przestaje się objawiać, a prawda początku (czyli Pisma świętego) odkrywa się stopniowo w całym zakresie swoich możliwości, jakie wciąż przed nami otwiera” – stwierdza M. de Certeau⁵ Właśnie tymi, którzy zareagowali na tę ofertę i przyjęli zawarte w niej wyzwanie, są święci i mistycy, żyjący na przestrzeni całych dziejów Kościoła w sposób zawsze nowy, twórczy i dostosowany do warunków czy okoliczności czasu i miejsca.

Parafrazując tytuł egzegetycznej książki Renckensa: „Je eigen Schrift schrijven” (*Pisząc własną Biblię*), można by powiedzieć, że każdy święty słuchał, rozważał, przeżywał w sposób jedyny i oryginalny Pismo święte. Franciszka z Asyżu poruszyły dogłębnie inne zdania czy fragmenty, aniżeli Ignacego Loyolę lub Teresę z Lisieux. A przecież ci

⁵ *La Faiblesse de Croire*, Paris 1984, s. 214 i 212.

właśnie wielcy święci kanonizowani znajdują się u samych podstaw tak bogatej różnorodności chrześcijańskiej tradycji duchowej. Nie można traktować Objawienia jako rzeczywistości definitywnie już zamkniętej, tak jak gdyby Bóg nie miał już nic do powiedzenia po św. Pawle i św. Janie. Tymi, którzy byli najbardziej otwarci na nieustannie wypowiedane słowa, jakie Bóg kieruje wciąż do człowieka, i którzy możliwie najlepiej szli za nimi, są właśnie święci.

Boże objawienie jest trwałym, opartym na Piśmie świętym, procesem, w którym święci i mistycy odgrywają pierwszorzędą rolę. W godnej uwagi książce o osobie Chrystusa francuski jezuita J. Moingt pisze, że wiara Kościoła wciąż na nowo wyjaśniała to, co wyczytywała z kart Pisma świętego, aktualizując jego słowa i wcielając je w życie. Wiara jest bowiem trwającym ustawicznie procesem przyswajania sobie Bożej prawdy i dostosowywania do niej własnego życia. Samo zresztą pojęcie „religii” (*re-legere* = odczytywać, czytać na nowo...) wskazuje na fakt powracania w niej do tych samych kwestii celem ponownego (ale i nowego) ich odczytywania⁶.

Jeżeli nasza wiara jest duchową przygodą, która polega na ustawicznym poszukiwaniu Boga, to właśnie Święci dostarczają nam fascynującego i inspirującego zarazem przewodnika w tym poszukiwaniu, w tym odkrywaniu Boga. Tak więc Tomasz z Akwinu mówił o niejakiem pięciu „drogach” (*viae*) wiodących do Boga, którego ślady odkrywał w przyrodzie, w historii i w wydarzeniach własnego życia. Niesłusznie i bezmyślnie nazwano później to jego poszukiwanie „dowodami na istnienie Boga” Tego, że człowiek jest istotą nieuleczalnie religijną – mówiąc językiem Kuiterta – dowodzi niewątpliwie dodający nam wciąż otuchy przykład świętych.

Święci byli ludźmi starającymi się konsekwentnie naśladować Chrystusa. Pragnęli być „uczniami” lub „naśladowcami” Jezusa w najbardziej radykalnym znaczeniu tych pojęć. Lepiej się też widzi, jak chrześcijanie pojmowali Chrystusa w ciągu całych dziejów Kościoła, kiedy się przygląda z bliska świętym, których oni czcili. Jeżeli dany święty jest kimś, kto – w opinii wiernych – upodobnił się bardziej do Chrystusa, to w postaciach tych świętych widzimy, jak ludzie wyobrażali sobie wówczas niewidzialnego Chrystusa. To znaczy: jak w danej epoce odczytywano i pojmowano Ewangelię. Osoba Chrystusa jest tak bardzo bogata, że wierni nie byli w stanie pojąć ani naśladować,

⁶ Por. J. Moingt, *L'homme qui venait de Dieu*, Paris 1999, s. 74 i 457.

w żadnym momencie dziejów Kościoła, całości bytu Jezusa. Parafrazując słowa św. Augustyna, można by powiedzieć: *Si comprehendis, non est Christus* (Jeśli ci się wydaje, że poznałeś całkowicie Chrystusa, to nie mówisz już o Chrystusie).

Mówiąc bardziej ogólnikowo, można by odróżnić cztery okresy w dziejach duchowości chrześcijańskiej, w których daje się stwierdzić obecność nieco odmiennych ujęć Chrystusa, a tym samym także różne typy chrześcijan uważanych za „świętych” i czczonych jako tacy.

W pierwszym okresie (który w Kościele łacińskim rozciąga się aż do XII wieku) widziano w Chrystusie przede wszystkim zmartwychwstałego „Pana”, wszechmocnego Króla, czyli Pantokratora, i „Słowo Odwieczne” Dominują nade wszystko wielkie cuda i Potęga Pańska. Świętym był wówczas ten, kto dokonywał wielkich cudów – w ślad za Chrystusem, który niegdyś je czynił. Przez całe wieki hagiografie były pełne „cudów” prawdziwych lub zmyślonych. Im bardziej zdumiewające były opisywane w nich cuda, tym bardziej wpływowym okazywał się dany święty w opinii wiernych. Żywotów świętych późnego średniowiecza nie da się więc czytać jako dzieł historycznych, opartych na krytycznym badaniu. Były to raczej książki pobożnościowe, moralizatorskie i budujące. Wartości i praktyki, traktowane przez Kościół jako ważne i miarodajne, szczyły się tym, że wzorcami ich realizacji byli święci „wielkiego kalibru” Większość ówczesnych pism nabożnych mówi nam o wiele więcej o sytuacji Kościoła i duszpasterstwa w czasach, w jakich żył dany hagiograf czy autor, aniżeli o osobie danego świętego.

Aż do XX wieku „cud” stanowił wydarzenie o kapitalnym wprost znaczeniu dla kanonizacji świętych. Nie tu jest oczywiście miejsce odpowiednie do wyjaśnienia różnicy zachodzącej pomiędzy człowiekiem średniowiecznym a chrześcijaninem naszej doby w pojmowaniu cudu. Wystarczy tylko zauważyć, że człowiek średniowieczny traktował „cuda” jako *gesta Dei per sanctos* (dzieła Boże, realizowane poprzez świętych). Ale i teologia nie zatrzymała się w miejscu, doprowadzając nawet do tego, że współczesny teolog uważa cud za dobrowolny akt wiary, która widzi w wydarzeniu czysto materialnym (na przykład w uzdrowieniu) coś znacznie większego od fenomenu czy faktu czysto historycznego: chodzi tu bowiem o znak kierowany przez Boga do mnie osobiście⁷

⁷ Por. wypowiedź K. Rahnera w: B. Sesboüé, *La Pédagogie du Christ*, Paris 1994, s. 185.

Drugą zasadniczą cechą specyficzną kultu świętych w późnym średniowieczu (miarodajną także obecnie) było przeświadczenie, że święty jest wstawiennikiem – „adwokatem” – tego, kto zwraca się modlitewnie do Boga. Święty popycha niejako Boga do działania. Właśnie dlatego *acta sanctorum* (czyny świętych) są po prostu czynami Boga samego, wykonywanymi jednak rękoma „wstawienników”, jakimi są święci. Święty interweniuje u Boga na rzecz danego człowieka.

Poczynając od XII wieku, tacy święci, jak: Bernard, Wilhelm ze św. Wiktora, Aelred z Rievaulx czy Franciszek z Asyżu, rozpowszechniali nową wizję Chrystusa, która istniała już przecież od dawna, a w Kościołach Wschodu lub Grecji sięga nawet czasów Orygenesa i Ojców Kościoła. Jezusa traktowano wówczas jako Przyjaciela, Umiłowanego, albo jako Oblubieńca z *Pieśni nad pieśniami*, którego bardzo miłuje prosząca Go o coś osoba, pragnąc coraz bardziej upodobnić się do Niego. Świętym jest odtąd ten czy ta, który lub która podtrzymuje bardzo głęboką i zażyłą relację z Chrystusem. Ignacy nazwie tę relację „zażyłością z Bogiem” (*familiaritas cum Deo*), czyli przepelnionym ufnością, niemal „familijnym”, rodzinnym sposobem obcowania z Bogiem poprzez osobę Chrystusa. Ten ostatni punkt jest całkowicie przeciwny na przykład islamowi, judaizmowi, a nawet niektórym tekstom z początków chrześcijaństwa, wszystkie one bowiem uwypuklają różnicę i nie dający się zmierzyć dystans pomiędzy Bogiem a istotą ludzką.

Bóg transcendentny staje się teraz immanentny w Chrystusie, a zatem dostępny i bliski. Dominuje człowieczeństwo Jezusa. Bardziej zażyłe staje się obcowanie z Chrystusem na modlitwie i im bardziej człowiek upodabnia się do Niego stylem swego życia, tym bardziej tenże człowiek zasługuje na tytuł „świętego” Bernard parafrazuje słowa Cycerona, kiedy zauważa, że dwaj przyjaciele są nimi faktycznie, kiedy zaczynają upodabniać się coraz bardziej do siebie – na przykład w swych zainteresowaniach, wartościach i celu swego życia. Natomiast księgą Pisma świętego, która inspiruje najbardziej takie doświadczenie Chrystusa (właśnie dlatego najczęściej cytowaną i komentowaną), jest *Pieśń nad pieśniami*. Życie duchowe staje się faktycznie historią miłości. Święty nie jest już na pierwszym miejscu przedziwnym inicjatorem cudownych interwencji. Święty staje się odtąd mistykiem. Zażyłym przyjacielem i powiernikiem Boga samego. Każdy kontakt wiernych z tymi świętymi (poprzez ich naukę, pisma lub naśladowanie ich stylu życia) zbliża ich do Boga. Święty jest pośrednikiem lub mostem (pomostem – *pontifex*) między człowiekiem i Bogiem.

Duchowość ta zawiera więc w sobie coś paradoksalnego, albowiem – z jednej strony – jest bardzo praktyczna i ma na uwadze konkretne życie ze względu na akcent kładziony na człowieczeństwo Jezusa historycznego (podkreśla się głównie Jego ubóstwo, mękę i niemoc), z drugiej zaś strony mistyczne doświadczenie transcendencji Boga i Jego tajemnicy staje się elementem podstawowym, pierwszorzędym. To mistyczne doświadczenie Boga nie jest jednak wynikiem lub owocem konkretnych praktyk ascetycznych, czy też ucieczki od świata i przemijalności rzeczy tego świata. Bóg objawia się przede wszystkim w świecie i przez świat stworzony. Mówiąc słowami Erazma: *Per visibilia ad invisibilia* (przez rzeczy widzialne do niewidzialnych). „Takie duchowości, jak na przykład franciszkańska lub ignacjańska, a także mistyka Julianny z Norwich, które akcentowały tak mocno konkretne i ludzkie aspekty naszego kontaktu z Bogiem, przywiązują – z drugiej strony – wielką uwagę do immanencji Boga w stworzeniu i ludzkim doświadczeniu”⁸.

Istotne doświadczenia wielkich świętych tego okresu (1200-1600) stały się słusznie trwałą zdobyczą chrześcijańskiej duchowości aż do naszych czasów. To, że osobista więź z Chrystusem stanowi samo serce wiary chrześcijańskiej, ukazuje się już wyraźnie w tym zasadniczym pytaniu, jakie Pan zadał Piotrowi: „Szymonie, synu Jana, czy miłujesz Mnie?”, na które Święty odpowie bez wahania: „Tak, Panie, Ty wiesz, że Cię kocham” (J 21, 16). Być świętym – to kochać Pana z pasją i namiętnie.

W trzecim okresie, którego punkt kulminacyjny przypada na czasy baroku, będzie się podkreślało w sposób szczególny moralną integralność świętych. Nade wszystko będzie się podziwiano to, że ci właśnie ludzie – przynajmniej od momentu swego nawrócenia – prowadzili życie nienaganne, a więc pozbawione wszelkich uchybień i – rzecz jasna – grzechów ciężkich. Święty stawał się wówczas wzorem ambitnego dążenia do doskonałości. Idealem, co prawda, niedostępnym, ale mimo wszystko wzbudzającym entuzjazm i podziw. Ta zmiana akcentu w hagiografii wynikała z zepsucia obyczajów i rozpusty wielu członków hierarchii kościelnej: zarówno wysoko postawionych, nie wyłączając papieży, jak też zwykłych, przeciętnych księży. Uważano, że Kościół bardzo potrzebuje odnowy moralnej. Odkrywano więc na nowo i z wielkim uznaniem różnorodne „cnoty” w żywotach świętych. Trzy

⁸ Ph. Sheldrake, *Spirituality and History*, New York 1992, s. 197.

spośród nich miały szczególne znaczenie. Najpierw wielka pobożność, czyli wierność życiu modlitwemu. U świętych mężczyzn dostrzega się wielkie nabożeństwo do Najśw. Dziewicy, które zdaje się być równocześnie solidnym oparciem w walce z protestantyzmem, u świętych niewiast akcentuje się mocno wizerunek Chrystusa – Oblubieńca duszy.

Drugą wciąż podkreślaną cnotą jest czystość, czyli dziewictwo. Nawet jeszcze w XX wieku papież Pius XII dokona kanonizacji dwunastoletniej dziewczynki, Marii Goretti, która stawiała tak zdecydowany opór swemu gwałcielowi, że ten ją zamordował. Często się ją ukazuje jako inspiracyjny wzorzec w dziedzinie moralności seksualnej. Zrozumiałe jest przy tym samo przez się, że niezliczone rzesze kobiet – zarówno podczas wojen etnicznych, jak i przy różnych innych okazjach – przeżyły podobne tragedie. Pobożni hagiografowie lubią opowiadać o tym, że młody jezuita Alojzy Gonzaga już jako niemowlę unikał łona swej matki, a jako młodzieniec nie chciał patrzeć prosto w oczy innych kobiet.

Przywiązuje się w tym okresie niezwykle wagę do przesadnych praktyk pokutnych, zwłaszcza u księży i osób zakonnych. Specyfiką prawdziwego świętego staje się asceza posunięta bardzo (aż za bardzo) daleko.

I wreszcie w XX wieku podziwia się w Chrystusie głównie Jego zaangażowanie na rzecz chorych, biednych i wykluczonych, czyli ludzi z marginesu. Osobami przedstawianymi obecnie jako wzorce i wszędzie podziwianymi są: Matka Teresa, Helder Camara lub Romero. Typowym w tym względzie jest niewątpliwie film: „Ewangelia według Mateusza” (który powinien nosić raczej tytuł: „Ewangelia według Pasolini’ego”). Ateista Pasolini, stuprocentowy marksista, dostrzega w Chrystusie głównie, jeśli nie wyłącznie, człowieka, który opowiada się ustawicznie po stronie maluczkich i wydziedziczonych. Broni sprawiedliwości społecznej i walczy nieugięcie z „kastą” faryzeuszy, z arcykapłanami i nauczycielami prawa, czyli z potężnymi politykami Izraela. Chrystus występuje wyraźnie i zdecydowanie przeciwko wszelkim przejawom niesprawiedliwości i ucisku. W teologii wyzwolenia otrzymuje natomiast niemalże status rewolucjonisty. W samym centrum tego ruchu znajdują się te oto słowa Ewangelii: „Wszystko, co czyniliście jednemu z tych braci moich najmniejszych, Mnieście uczynili” (Mt 25, 40).

Wszystko to nie oznacza oczywiście, jakoby rozwój chrześcijańskiej wizji osoby Chrystusa, a tym samym także pojęcia „świętości”, miał doprowadzać Kościół do odkrywania jedynie pewnych częściowości Chrystusa i Jego nauki – stosownie do wyczucia i „smaku” danej

epoki; przy czym nigdy nie dochodziłoby się do prawdziwej chrystologii o trwałym znaczeniu i wartości. Pojęcie „świętości” było jednak faktycznie pojęciem wciąż się rozwijającym w konkretnej pobożności kościelnej. Jedynym stałym elementem w tym ciągłym rozwoju była więc z tym, co można by nazwać nabożeństwem do osoby Chrystusa.

Poniższe spostrzeżenie ukaże jednak, że taki właśnie rozwój, względnie ciągły wzrost, był konieczny. Chrześcijanin jest przecież człowiekiem, który nie daje się natchnąć samym tylko przykładem Chrystusa (względnie rozpowszechnianym przez Kościół obrazem, jaki uczyniono z osoby Chrystusa), lecz idzie za „apelem”, wezwaniem pochodzącym od Pana. Chrześcijanin jest więc uczniem (tym, który idzie za...) Chrystusa. Iść zaś za Chrystusem w ten właśnie sposób oznacza zawsze trzy rzeczy: słuchać, kroczyć Jego śladami i być z Nim związanym miłością.

Słuchanie jest z kolei czymś więcej od pozostawiania wiernym orędziu sprzed 2000 lat. Słuchać oznacza zawsze: otwierać się na nowość i coś niespodziewanego, co Pan ma do przedstawienia każdemu człowiekowi w nowych warunkach i okolicznościach. Kroczenie śladami Jezusa nie oznacza więc wcale wytyczonej już słupkami czy bojami raz na zawsze przed dwoma tysiącami lat drogi. „Bóg nie przestaje dawać się poznawać i jest o wiele większy, aniżeli potrafimy to pojąć” – stwierdza M. de Certeau⁹ Żyjący Pan prowadzi każdego człowieka drogami nieprzewidywanymi i nowymi. Chrześcijanin jest kimś, kto rusza w drogę, nie jako jednostka, lecz w grupie, to znaczy we wspólnocie kościelnej. Prawdziwa droga nie jest nigdy trasą indywidualną. Nikt nie może się odłączyć lub odsunąć od swych braci i siostr, nie odsuwając się i nie odłączając równocześnie od Boga. Przecież „tam, gdzie dwaj lub trzej gromadzą się w Imię Chrystusa”, tam On jest obecny pośród nich.

Twierdzenie, że można iść za Chrystusem wyłącznie we wspólnocie, czyli w Kościele, nie oznacza jednak całkowitego ograniczenia się do wzorców aktualnych i inspiracji współczesnej. „Wspólnota świętych” zawiera także w sobie – może nawet na pierwszym miejscu – tych, których nazywano w swoim czasie „Kościołem triumfującym”, czyli tych wszystkich przyjaciół Pana, którzy odkryli Chrystusa i szli za Nim w przeszłości, a których Kościół nazywa od wieków „błogosławionymi” lub „świętymi”

tłum. ks. Lucjan Balter SAC

⁹ *L'Etranger ou l'Union dans la Différence*, Paris 1991, s. 7.